

Łoskot butów i chrzęst oporządzenia szybko cichł i na długim, ciemnym korytarzu słycać było jeszcze przez chwilę przyspieszone oddechy, które stopniowo uspokajały się, stając się prawie bezgłośnymi. Ponad stu podchorążych wyprężało piersi, przyciskając nadgarstki do ud i wbijając wzrok w pasek lamperii oddzielający zielony dół korytarza od przykurzonej, wapnowanej góry.

Cisza przedłużała się ponad zwyczajową chwilę, wzbudzając w umysłach młodych żołnierzy falę niepewności. Ciche „Dajcie spocznij” poprzedziło skrzypienie butów dowódcy pierwszego plutonu, świst nabieranego w płuca powietrza i gromkie:

– Kompaniaaaa, spocznij!

Donośne łupnięcie w betonową podłogę zmniejszyło napięcie i pozwoliło podchorążym zerknąć na nowego dowódcę kompanii, który wolnym krokiem przechodził wzdłuż szyku prężącego muskuły. „Nowy” był przeciętnego wzrostu i postury, wyglądał na około trzydzieści lat. Twarz łagodna, niezbyt wojskowa, więc nie powinien podchorążym rezerwy sprawiać większych problemów.

Mężczyzna zatrzymał się mniej więcej pośrodku szyku, lekko uśmiechając się.

– Nazywam się Bolesław Nieczuja-Ostrowski, będę miał honor dowodzić panami w czasie kursu. Mam nadzieję, że pobyt w Róźnie da i wam, i mnie satysfakcję.

Oficer odwrócił się do stojącego obok dowódcy pierwszego plutonu:

– Panie poruczniku, proszę kontynuować zajęcia!

Prowadzący do dziś kompanię podporucznik Zalewski wydał komendę i poszczególne plutony, łamiąc dotychczasowy szyk, rozeszły się.

Ostrowski stał przy stoliku dyżurnego kompanii, milcząco przyglądając się przechodzącym obok strzelcom. Kolejny rok bycia dowódcą – instruktorem i kolejny ponadstuosobowy zbiór problemów. Gdy ostatni żołnierze minęli go, wychodząc na koszarowy dziedziniec, poprawił czapkę i wolnym krokiem ruszył za nimi, kierując się do komendy Ośrodka Wyszkozenia Rezerwy Piechoty w Róźnie.

– Plutoon, biegieem marsz!

Nie wiadomo, czy zmaltretowanych żołnierzy bardziej moczył lejący się z nich pot czy siąpiący deszcz połączony z zimnym jesiennym wiatrem. Sierżant Morawski, czerwony na twarzy, klnąc wściekle pod nosem, maszerował na czele plutonu „zielonych” z kolejnego strzelania i treningu z granatami – ponownie zawalonego. Jak długo żyje i służy w wojsku, nie miał jeszcze tak beznadziejnej bandy gówniarzy do wyszkolenia.

Już on tym bałwanom pokaże! To oni stoją na drodze zaplanowanego urlopu i wyjazdu do rodziny, do Podzamcza¹.

Morawski wściekłymi warknięciami wyduszał z żołnierzy ostatnie zasoby energii. Zwolnił i znalazł się nieco z tyłu, z ponurą złością, zerkając na dwie ostatnie w szyku patykowate ofiermy, które przygięte ciężarem plecaków, broni, hełmów wciąż gubiły krok i walczyły o utrzymanie się za resztą żołnierzy.

¹ Obecnie zachodnia część Wieruszowa. Województwo Łódzkie.

– Lewa, lewa... ruszać się!

Wyczerpani żołnierze dotarli wreszcie przed swój budynek koszarowy. Dwóch kaprali przejęło dowodzenie, pluton złamał szyk i ruszył zdać broń, a następnie doprowadzić się do ładu.

Sierżant wchodził na korytarz, gdy wyrósł przed nim podoficer dyżurny kompanii.

– Panie sierżancie, dowódca kompanii prosi pana na chwilę do swojej kancelarii.

Morawski z wahaniem zatrzymał się. Był przemoczony, zabłocony i jeszcze nie ochłonął po ćwiczeniach. Kiwnął głową dyżurnemu, po czym wpadł do sali podoficerskiej, by się doprowadzić do ładu. Rzut okiem na wiekowe lustro, poprawienie czapki i był gotów na spotkanie z dowódcą. Ich roczny kurs unitarny ostatnimi czasy cierpiał z powodu fatalnego naboru. Coraz większy procent stanowili wyedukowani chłopscy synowie, którzy niby mieli cenzus, ale życiowego sprytu czy sprawności za grosz. Do tego jacyś Rusini, co to nie idzie się z nimi dogadać i wreszcie największe nieporozumienie w armii – Żydzi. Zamiast robić swoje geszefty, chyba specjalnie przychodzili do wojska, aby jemu, Jakubowi Morawskiemu, zatruć do szczętu życie.

Sierżant stanął przed drzwiami dowódcy, raz jeszcze poprawił bluzę munduru i energicznie zapukał. Otworzył drzwi i wyprężony jak struna zameldował swoje przybycie.



Pomimo potwornego zmęczenia nie mieli chwili na wytchnienie. Zdali już broń, którą po obiedzie będą czyścić, a teraz musieli doprowadzić się do ładu. Udawali, że nie zwracają uwagi na wściekłe spojrzenia kolegów, którzy dzięki nim będą

mieli dodatkową porcję musztry lub tor taktyczny – nie wspominając o pracy w kuchni czy cięciu drewna na opał w wolnym czasie. Obaj trafili do Różana, aby zaspokoić marzenia własnych ojców a nie swoje, bo przecież czy bycie oficerem może nie być dla Żyda pochodzącego z małego miasteczka spełnieniem marzeń? Ojciec Tewe, Mordechaj, był krawcem, który poprawiał i szył mundury sierżantom i porucznikom i zapragnął takiej kariery dla swojego trzeciego syna. Bo iluż krawców utrzyma się w ich miasteczku? A trzeba wydać jeszcze córki, więc syn z oficerską gażą będzie mógł wspomóc ubogą rodzinę.

Hersz od Jonkischów, którego ojciec zmagający się z wiecznie narzekającą żoną oraz gromadą dzieci prowadził szynk, był w identycznej sytuacji. Obaj posłuszni synowie nawet z pewną nadzieją wstąpili do tego Polskiego Wojska, choć brutalna codzienność, niechęć podoficerów i kolegów szybko przekonała ich, że kariera oficerska to nieporozumienie. Ale unitarkę² tak czy inaczej musieli odbyć, choć może lepiej byłoby im w zwykłym pułku, gdzie Polacy napchani bzdurną dumą i tym swoim patriotyzmem jak gęś kaszą nie dogryzaliby im tak bardzo.

– Podchorążowie Jonkisch i Kleches! Po obiedzie zameldować się u dowódcy kompanii!

Ostry głos podoficera dyżurnego przerwał na chwilę krzątanie żołnierzy. Cholera, jeszcze to. Znowu będzie nagana, a może i paka. Ich „występ” na strzelnicy będzie zdrowo kosztował.

Wciąż udawali, że nie widzą złośliwych spojrzeń kolegów, którzy zaczęli zbijać się w grupki i półgłosem zastanawiać, co „stary” zrobi z tymi niebezpiecznymi dla wszystkich gamoniami.

² Unitarka – okres wstępnej służby wojskowej pomiędzy powołaniem do jednostki a przysięgą wojskową.



– Panie poruczniku, sierżant Morawski i dwóch podchorążych meldują się na rozkaz!

– Dajcie spocznij, sierżancie.

Porucznik Nieczuja-Ostrowski wstał zza biurka i powoli podszedł do stojących przed nim wyprężonych strzelców. Od dwóch tygodni był dowódcą kompanii unitarnej, z którą żaden z jego poprzedników nie mógł sobie poradzić. Ci dwaj, stojący przed nim, chyba znaleźli się tu przez przypadek i zapewne rozpaczliwie chcieli wydostać się ze szkolenia, ale z drugiej strony pewnie nie mogą zawieść oczekiwania ojców. Ten nieco wyższy miał charakterystyczny haczykowaty nos i ciemno obramowane oczy. Był chudy, ale żylasty, co zdradzało ukrytą w nim niewykorzystaną siłę. Kleches, niższy, nie wyglądał na Żyda, ale oczy zdradzały wrodzony spryt i zapewne niezły pomysłupek.

Oficer, nie odzywając się, wpatrywał się w swoich podkomendnych, których twarze przestały powoli zdradzać upór i udaną obojętność na to, co nieuchronnie ich czeka. Stojący nieco z boku sierżant słyszał uderzenia wiatru i deszczu o szybę okna, sam zaskoczony dziwnym zachowaniem, a zwłaszcza milczeniem oficera. Wyzwiska powinny sypać się jak grad, miażdżąc tych dwóch Żydków, a tu cisza! Jak długo służył, jeszcze żaden przełożony tak się nie zachowywał.

– Masz dziewczynę?

Zaskoczony Tewe zamrugął oczyma. Przez cały obiad i chwilę poobiedniego wypoczynku przygotowywał sobie w myślach odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania dowódcy, ale tego nie przewidział.

– Ta..., tak jest, panie poruczniku!

– A wy, Jonkisch, wyglądacie na takiego, za którymi dziewczyny się oglądają. To jak ma wasza panna na imię?

Nogi Hersza prawie ugięły się. Skąd on do licha wie, że od roku ukradkiem spotykał się z Sarą? Porucznik stał przed nim, lekko uśmiechając się. Oczy oficera też się uśmiechały, czyli chyba nic złego mu nie grozi.

– Ma na imię Sara, panie poruczniku!

Tewe usłyszał słowa przyjaciela wyrzucane z siłą i prędkością karabinu maszynowego. Oficer znacząco spojrział na niego.

– Moja ma na imię Lilah, panie poruczniku!

Boże, ale dał się podejść.

– A kiedy ostatni raz widzieliście się ze swoimi pannami?

Oba czoła pochylili się, a usta zacisnęły posępnie. Oficer kiwnął ze zrozumieniem głową.

– Z tego co czytałem o was, to macie niezły rejestr przewinień. Opieszałość, oskarżenie o kradzież, brudna broń, niewykonanie rozkazu przełożonego, niebezpieczne zachowanie się na strzelnicy i ten dzisiejszy wyczyn z granatem. Hersz, czy zostaliście przeszkoleni w rzucaniu granatem bojowym?

– Tak jest, panie poruczniku!

– Ale dzisiaj mało nie zabiliście nie tylko siebie, ale też innych podchorążych! Nie wiem, jak powinniście dziękować sierżantowi, że uratował wam wasze tyłki i dał ostatnią szansę zobaczenia waszych dziewczyn.

Oczy podchorążych i sierżanta Morawskiego z napięciem śledziły przechadzającego się po pokoju oficera. Czegoś takiego nie oczekiwali.

– Jaka jest wasza narodowość, podchorąży Kleches?

– Jestem Żydem, panie po....

– A ja wątpię, czy wy jesteście prawdziwym Żydem! Podobnie jak mam wątpliwości co do Jonkischa!

Głos porucznika zrobił się nieprzyjemny i ostry. Obie twarze stojących żołnierzy zaczerwieniły się, gdy zmieszane umysły starały się zrozumieć, o co chodzi. Nazwanie kogoś Żydem często było obraźliwe, ale to?!

– Ja jestem Żydem, panie poruczniku.

Głos Tewiego zadrżał. Zaczynał się pocić i szybko oddychać, nie mogąc uspokoić bieganiny myśli.

– Żyd to ma kiepełe³, ale u was są tylko podstawki pod hełmy. Wyszkoliłem wielu Żydów, którzy byli cherlawi i mniej zdolni od was, ale mieli kiepełe! I chodzili na przepustki, i dostawali awanse. Jeden z nich nawet przysłał mi ostatnio zaproszenie na swój ślub.

Porucznik Ostrowski przerywał tyradę i ponownie spojrzął na stojących przed nim podchorążych. Ich poprzednia pewność siebie i upór znikły, stali teraz przybici, bliscy płaczu.

– Słuchajcie, chcę wam obu dać po trzy dni urlopu. Co wy na to?

Teraz nawet sierżant Morawski otworzył szeroko usta, ukazując swój zaniedbany garnitur zębów.

– Ale nie od razu. Najpierw coś ustalimy. Czy jesteście w stanie nauczyć się musztry i wykonać ćwiczenia fizyczne?

Słabe „Tak jest” wydobyło się z zaciśniętych ust.

– Nie słyszałem!

– Tajest panie poruczniku!

– Jonkisch, wy pierwsze strzelanie zaliczyliście bez problemu, więc strzelać potraficie lepiej niż inni podchorążowie. Pewnie w lunaparku już jakieś kwiaty swojej pannie wystrzelaliście?

– Wystrzelałem, panie poruczniku.

– A wy, Kleches, jako syn krawca jesteście w stanie utrzymać czystość wokół was?

³ W gwarze żydowskiej: głowa.

– Jestem, panie poruczniku.

Porucznik znów uśmiechnął się.

– Teraz mówicie jak Żydzi. Wolicie spędzić wojsko w kolejnych aresztach i zwykłym pułku gdzieś na kresach, gdzie z życia uczynią wam piekło, czy może weźmiecie się w garść i za miesiąc dostaniecie przepustki? Ale to sierżant Morawski musi do mnie przyjść i zameldować, że na nie zasługujecie. A sierżantowi bardzo zależyście za skórę!

Obaj żołnierze zerknęli na siebie.

– Nie będzie miał pan z nami więcej problemów, panie poruczniku!

– Zobaczymy. A teraz za dzisiejsze wasze zachowanie karzę was trzema dniami aresztu i służbą poza kolejnością!

– Kara, panie poruczniku!

– Odmaszerować!

Obaj żołnierze, na miękkich nogach wyszli z pokoju i oszołomieni ruszyli w kierunku swojej izby. Cholera, udało się uniknąć większej kary, ale – co najważniejsze – życie w wojsku zaczęło chyba ponownie mieć sens.

– Sierżancie Morawski, zostańcie.

Sierżant zawrócił od drzwi.

– Macie przewidziany urlop w przyszłym tygodniu. Myślę, że z tymi dwoma ancymonkami nie będzie już żadnego problemu, dlatego proszę, abyście im trochę odpuścili. Ten urlop się wam bardzo przyda, a po nim będziecie mieli na nich baczenie. A teraz odmaszerować!

Część II

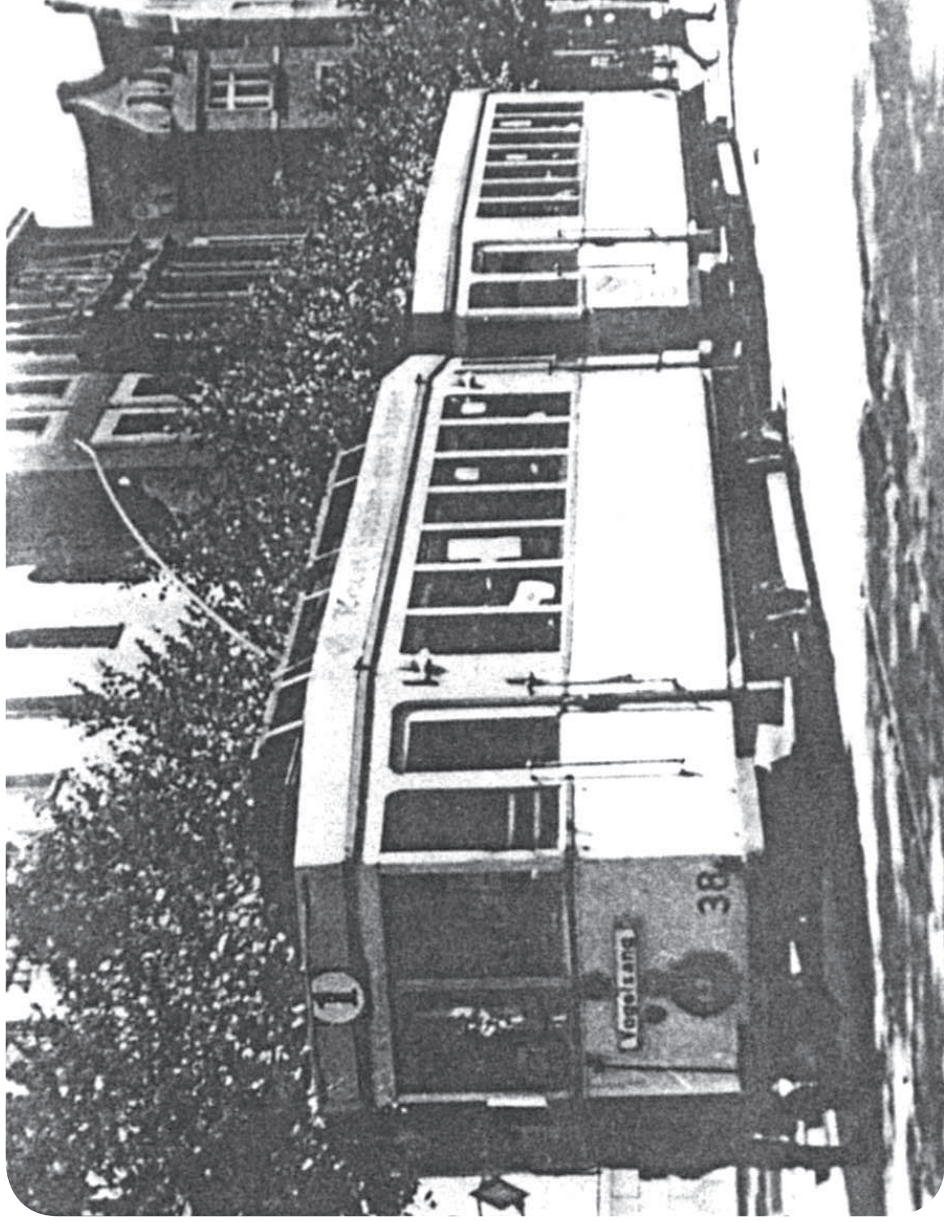
1938

Else okręciła się wokół raz jeszcze i pytająco zerknęła na przyjaciółkę. Ta chwilę namyślała się, po czym poprawiła jedną ze spinek w bujnych blond włosach koleżanki. Berta odsunęła się w stronę plamy słonecznego światła, która jakimś cudem wpadła na studzienne podwórko i wykonała podobny taniec jak Else.

– No, dobrze, chodźmy już, bo nam co lepszych chłopców wybiorą.

Stukając pantofelkami o betonową podłogę, wybiegły ciemnym korytarzem na rozświetloną południowym słońcem ulicę i widząc idących po przeciwnej stronie żołnierzy, natychmiast zwolniły do dystyngowanego kroku godnego pańien z lepszych domów. Od razu spostrzegły, że proces długotrwałych przygotowań został natychmiast uwieńczony sukcesem, bo męski szyk złamał się, a panowie w swoich wyjściowych mundurach zaczęli coś do siebie mówić.

Można by jeszcze poprawić bucik, ale zgrzyt tramwaju zmusił je do porzucenia godnej postawy i znacznego przyśpieszenia. Pojazd był prawie pusty, ale trzech panów z galanterią odpowiadającą kilku piwom ustąpiło im miejsca na siedzeniach i zaczęło komplementować urodę. Znienawidzony przez dziewczęta pąs oblał ich policzki, więc zmieszane ulokowały się na tylnym pomoście, tuż obok bileterki. Głośne fuknięcie umundurowanej konduktorki przywołało podchmielonych gentelmanów do porządku, ponownie opadli na krzeselka, poświęcając się komentowaniu ostatniego meczu lokalnej Concordii.



*[...] zgrzyt tramwaju zmusił je do porzucenia godnej postawy
i znacznego przyspieszenia.*

Tramwaj typu Steinfurt na Adolf Hitler Straße.

– Nie należy wskakiwać do ruszającego pojazdu, panowie oficerowie!

Potężny głos bileterki dobitnie wskazywał, która osoba w mundurze dowodzi w pojeździe. Czterech młodych mężczyzn, którzy w biegu dostali się do wagonu, głośno dysząc, starało się udobruchać bileterkę. Dumnie sapnąwszy po skasowaniu należności, obfita pracownica tramwajów z godnością ulokowała się na swoim miejscu. Tramwaj wjechał na ciąg rozjazdów, szarpiąc ciałami pasażerów.

– Może by pan bardziej uważał!

Docięnięta do szyby Else usłyszała wysoki, zdenerwowany głos Berty, który natychmiast ustanowił hierarchię ważności wśród tłumku na tylnym pomoście. Else doskonale rozumiała przyjaciółkę – nawet nie to, że ciężki but przybrudził jej pantofelek – ale sam fakt, że potencjalne ofiary łowów nie zauważyły ich piękności. To było wystarczająco oburzające i należało dać to tym mundurowym odczuć. Zaskoczeni odwrócili się ku pannom, wyduszając z siebie przeprosiny.

Else z wyrzutem uniosła stopę, pokazując biały pantofelek ozdobiony brudną smugą pozostawioną przez wojskowy but. Tramwaj ponownie zadrżał na nierównym torze.

Nim okrzyk przestrachu spowodowany nagłym szarpnięciem pojazdu wydobył się z ust dziewczyny, mocne ramię „winowajcy” usłużnie podtrzymało ją przed upadkiem. Ponownie rumieniec rozlał się na jej twarzy, a cała odwaga, na którą się przy Bercie zebrała, przepadła.

Berta uważnie taksowała mundurowych. Jeden podporucznik, dwóch podchorążych i SA-man: wypucowani, ale zbici z pantałyku. Zapewne też jechali do Vogelsang podebrać jakieś panny. Wzajemne oględziny przerwał kolejny zakręt i cała szóstka wstrząśnięta ruchem tramwaju poczuła pewną wzajemną bliskość.

– A panie może do Vogelsang?⁴

Pytanie zadane przez niższego z podchorążych miało na celu podjęcie konwersacji, bo wszyscy zauważyli, że tramwaj minął restaurację Waldschlösschen⁵ i właśnie tam zmierzał.

– A tak, chociaż swoim zachowaniem panowie zepsuli nam cały nastrój. Obie będziemy musiały spędzić sporo czasu, aby doprowadzić się do porządku!

Berta spojrzała karcącym wzrokiem na żołnierzy, którzy uśmiechali się przepraszająco. Wszystko to, czego dowiedziała się od starszych koleżanek na temat podrywania, doskonale działało. Zarzuciła sieć, w którą złapały się aż cztery ryby. No, może trzy, bo będzie musiała podzielić się zdobyczą z Else.

– Aby przeprosić, pozwolę sobie zaprosić panie na lody i lemoniadę – najstarszy ranga, podporucznik artylerii przejął inicjatywę – mam nadzieję, że pozwolą panie sobie towarzyszyć.

– Cóż pan sobie wyobraża, panie oficerze?! Krzywdzi pan nieznaną kobietę, a potem jeszcze narzuca się pan ze swoim towarzystwem!

Else coraz bardziej zdziwiona zerkąła na przyjaciółkę, nie będąc pewną, czy to, co mówi, nadal było próbą usidlenia jednego z tych chłopców czy może ona tak naprawdę się obraziła?

Mężczyźni wyraźnie zmieszali się. Z łowców stali się nawet nie ofiarami podrywu, ale byli wgniatani w deski tramwajowej podłogi przez pulchną, ładną, ale pyską pannę, która brutalnie niszczyła ich nawet nierozpoczętą przygodę z płcią piękną. Młody leutnant i jeden z podchorążych wyraźnie zaczęli zerkać na drzwi. Else zdała sobie sprawę, że Berta

⁴ Obecnie las miejski „Bazantarnia”.

⁵ „Leśny Zameczek” – nieistniejąca restauracja przy zbiegu ulic Królewieckiej i Marymonckiej.

przeholowała. Instynktownie uśmiechnęła się do skonfundowanych chłopców:

– Berto, panowie chyba nie mieli aż takich złych zamiarów!

Ten z podchorążych, którego sobie w myślach zaklepała, puścił poręcz i strzelił obcasami:

– Panie pozwolą, że się przedstawię! Podchorąży szkoły oficerów rezerwy, Willi...

Tramwaj ze zgrzytem zahamował, a ciało biednego Willego z impetem wpadło na stojącego przed nim SA-mana, który jak klocek domina przycisnął Bertę do jednej z poręczy. Zgnieciona dziewczyna żałośnie jęknęła, na szczęście jeden z młodzieńców otworzył drzwi, a dwaj inni podali jej dłonie, które machinalnie chwyciła i została prawie wyniesiona na bruk przystanku. Jeszcze jedna dłoń wysunęła się w kierunku Else i pomogła jej wyjść z pojazdu.

Wszyscy czterej zaczęli jeden przez drugiego głośno przeproszać dziewczyny za swoją nieostrożność, wywołując jeszcze większe zamieszanie wokół i przyciągając zaciekawione spojrzenia. Chociaż cała czwórka była od nich starsza, byli to tacy sami chłopcy jak ci z jej ulicy, którzy nieraz niezdarnie się do niej zalecali. Otoczenie ludzi podziałało trzeźwiąco na żołnierzy. Przystojny leutnant nagle rzucił komendę i mężczyźni stanęli obok siebie na baczność.

– Panie pozwolą, że przedstawimy się. Podporucznik Otto Wendig!

– Podchorąży Willi Stumpff!

– Podchorąży Alfred Brosowski!

– SA-rottenführer Georg Breitfeld!

Twarze przybrały marsowy wygląd, a sylwetki zdradzały odzyskaną pewność siebie. Ściągnięta twarz Berty nagle rozpogodziła się. Łaskawie wyciągnęła przed siebie dłoń.

– Jestem Berta, a to moja przyjaciółka Else Preuß.

Peron powoli nikł za zakrętem torów przysłonięty budynkiem lokomotywni, więc mogli skończyć machać na pożegnanie i schować się w we wnętrzu przedziału. Obaj wcisnęli się do środka, po czym Willi zamknął okno. Klapiąc pośladkami, opadli na drewniane ławki, a ich spojrzenia spotkały się, wywołując szerokie uśmiechy.

– Ty, ta moja....

Jednocześnie wyrzucone słowa zawisły w powietrzu przetrwane salwą radosnego śmiechu. Alfred i Willi długo nie mogli przestać się śmiać, nim byli w stanie wydusić jakieś słowo.

– Mieliśmy udany urlop, co?

– Noo. Nawet nie domyślałem się, że mamy w mieście takie ładne dziewczyny. Ta twoja, Berta jest naprawdę niezła. Jakie ciasteczka ci upiekła na pożegnanie! Mam nadzieję Willi, że przed granicą mnie jeszcze poczęstujesz?

Na dźwięk słowa „granica” przez obie twarze przebiegł cień. Muszą przejechać przez polski korytarz oddzielający Prusy od Rzeszy i czeka ich spotkanie z nieprzyjemnymi pogranicznikami oraz celnikami. Dlatego obaj musieli mundury schować do walizek i podróżować po cywilnemu.

Willi wyjął pudełko i postawił je na stoliczku, napełniając przedział aromatem. Ciasteczka upieczone przez Bertę na prawdziwym maśle, aż rozpływały się w ustach. Obie dziewczyny świetnie gotowały jako uczennice sławnej „Klops Akademii⁶”, co znacznie podnosiło ich wartość w oczach obu podchorążych. Berta i Else bardzo się różniły, zarówno

⁶ Mädchenberuffsschule – szkoła gospodarcza dla dziewcząt, obecnie Zespół Szkół Gospodarczych przy ulicy królewieckiej.

fizycznie, jak i charakterami, ale były też wielkimi przyjaciółkami, zapewne... na zasadzie przyciągania się przeciwieństw.

Berta, niezbyt wysoka i pięknie zaokrąglona, była energiczna i wygadana, z tych co to zawsze dadzą sobie radę.

Else, wyższa blondynka o delikatnej urodzie, była nieśmiała, ale wiedziała, czego chce i potrafiła sięgnąć po swoje. Alfred od razu ją zauważył, kiedy wskoczyli do tramwaju, jednak nawet nie śmiał pomyśleć, że uda mu się porozmawiać z nieznajomą, która wyglądała tak poważnie, nie mówiąc już o umówieniu się na następne spotkanie. Obaj z Willim byli w znacznie gorszej sytuacji niż Georg i Otto, którzy mieszkali i służyli w Elblągu i mogli kontynuować znajomość z obu świeżo poznanymi pannami.

Wtedy na przystanku w Vogelsang to „miejscowi” przejęli inicjatywę i poprowadzili obie naburmuszone panny w stronę restauracji, zostawiając za sobą ciągnących się podchorążych. Ale Else, przyjmując porcję lodów, zalotnie uśmiechnęła się do Alfreda, dając mu do zrozumienia, że jeżeli się postara, to ma u niej szansę. Wraz z Georgiem nadskakiwali blond piękności, która jak wydawało się, nie faworyzowała żadnego z nich. Po lodach był czas na spacer, a kiedy w muszli koncertowej zaczęła grać orkiestra, ruszyli w tany. Ani Georg ani Alfred nie byli mistrzami w tej dyscyplinie, ale Fred chyba mniej razy zgniótł damską stopę, więc to on dostąpił zaszczytu odprowadzenia jej do domu na ulicę Lothringer Weg⁷. A potem była zgoda na następne spotkanie przy zakupach na rynku warzywnym i konieczność targania dwóch ciężkich koszy aż pod bramkę nowo wybudowanego małego domku ze świeżo posadzonym drzewkami i wędnącymi kwiatami.

⁷ Obecnie ulica Konopnickiej.

Wieczorem tego dnia, gdy w większym gronie spotkali się w restauracji, Georg wyraźnie patrzył na niego wilkiem, ale Fred nie przejął się. Zresztą dołączyło do nich paru chłopaków z SA-Standarte 148 i Georg utopił smutek porażki w kilku kufiach piwa. Willi i Otto nadal dyskutowali o Bercie, choć ten drugi jakby z nieco mniejszym zapałem. Na tydzień przed końcem urlopu sprawa się wyjaśniła. Alfred otrzymał od Else fotografię oraz został zaproszony na herbatę do domu państwa Preußów, co skończyło się bólem głowy spowodowanym z jednej strony gadulstwem pani domu, a z drugiej – kilkoma szybkimi kieliszkami różnych nalewek wypitymi, gdy gospodyni z córką udały się do kuchni, by sprawdzić, co dzieje się z pieczoną kaczką. Obaj z panem domu starali się utrzymać pełną sprawność ruchów i języka, choć pod koniec wizyty stało się to bardzo trudne. Gospodyni szybko zorientowała się, że coś z gościem jest nie tak i kilkakrotnie przeszła swojego męża tak jadowitym spojrzeniem, że biedaczek o posturze niedźwiedzia zaczął się jąkać i pod błahym pozorem zniknął w czeluściach małego domku, więcej się nie pokazując.

Dwa dni przed wyjazdem, pod pachnącym krzakiem w parku Rosgarten, Fred odnalazł malinowe usta, które początkowo zimne i sztywne, szybko zmiękły i stały się gorące. Ich ławka, na której ponownie się spotkali, niestety znajdowała się w dość uczęszczanym miejscu, co nie pozwoliło na przelanie większej porcji czułości, ale mogli się trzymać za ręce i długo patrzeć sobie w oczy.

Urlop minął błyskawicznie. Else wraz z jego rodzicami odprowadziła go na dworzec i tam została zaprezentowana rodzinie jako jego sympatia. Mama Brosowski krytycznie otaksowała Else, ale ojciec kiwnął jej przychylnie głową i wykorzystując chwilę, w której byli sami, pochwalił wybór syna. Na dworcu spotkali też Willego z Bertą, więc Else poczuła się

pewniej. Zazdroszcząc przyjacielowi, którego Berta wyściskała, mógł swojej dziewczynie tylko podać rękę i powiedzieć kilka banalnych słów. Ale widok łez machającej doń Else zaskakująco go wzruszył. Będzie miał o kim myśleć i do kogo pisać.

– Bolku, bój się Boga! Wytrzymaj buty! – zmęczona Bronia z rozpaczą patrzyła na świeżo wywoskowane deski podłogi. Mąż był już w pokoju, poderwał bawiącą się Wandzię z dywanu i wykręcił młynka z piszczącą z uciechy córką. Kilka głośnych buziaków zakończyło powitanie i Wandzia wylądowała wśród swoich zabawek.

– Co z obiadem? Wiesz, nie zdążyłem zjeść w kantynie....

– Ale czemu się nie rozbierasz? Jesteś już po służbie...

– No tak, ale... – głos porucznika zawisł w powietrzu.

Zgaszone spojrzenie żony świadczyło, że wszystko już zrozumiała. Dla Bolka zawsze na pierwszym miejscu była służba...

– Zaraz podam zupę, a potem drugie danie. Ale zdejmij choć te mokre rzeczy!

Bolesław z ociąganiem zdjął przemoczony płaszcz i wszedł do kuchni. Przy zlewie stały brudne naczynia świadczące, że żona z córką już jadły. Dopiero teraz przypomniał sobie, że mieli jechać do Ostrołęki na zakupy. Tyle razy już to przekładał, tłumacząc się różnymi obowiązkami.

Niepewnie usiadł na krześle i – udając zamyślenie – przyglądał się żonie, która postawiła przed nim talerz z pomidorówką.

Zupa była letnia, ale zaczął jeść, posiorbując i kiwając z ukontentowaniem głową. Wandzia ulokowała się naprzeciw i serdecznie roześmiała.

– Wiesz, musiałem wziąć służbę za Dionizego Ruska, bo ma wyjazd na pogrzeb i prosił mnie, a ja przy okazji zrobię dodatkowe strzelanie w drugim plutonie. Nie gniewaj się, proszę cię! Za kilka chwil będę już leciał, tylko zmienię bieliznę.

– Bolku, ale jeżeli zdecydowałeś się już jeść w czapce, to może choć rozepnij pasek pod brodą, bo się udławisz!

Ręka trzymająca łyżkę zawisła w pół drogi do ust, a twarz oblał rumieniec. Dziecięcy chichot Wandzi połączył się ze śmiechem Broni, której gniew zupełnie rozpułnął się. Widok łez śmiechu płynących z oczu żony wzbudził w Bolku krótkie uczucie zawstydzenia połączonego ze złością, ale zaraz sam wybuchł śmiechem.

Porucznik Nieczuja-Ostrowski zdjął garnizonówkę i zlu-zował pas. To prawda, że najważniejsza jest dla niego armia i że zaniedbuje rodzinę. Wstał i objął żonę, która – nadal śmiejąc – przytuliła się do niego.

– Wiesz, do Ostrołęki pojedziemy może pojutrze – zaproponował nieśmiało.

– Nie obiecuj Bolku, nie obiecuj... tylko pamiętaj tak, jak pamiętasz o kolegach i swoich podchorążych.

Bolek skinął głową, po czym zaczął kończyć zupełnie już wystygłą zupę.

Sąsiednie plutony już rozwijały się w szyk bojowy, więc i trzeci pluton, którym dziś dowodził Willi ruszył na jego komendę. Trzy czołgi Panzer I wyjechały z lasu i starając się utrzymać równe odstępny na pełnym wertepów, zakrzaczonym poligonie, posuwały się przez otwarty teren. Oficerowie obserwujący przebieg ćwiczeń rozłożyli się na wzgórzu równoległym do trasy marszu pojazdów. Maszyny przyjęły

formację tępego klina, kierując się w stronę niewielkiego zagajnika, w którym ukrył się „wróg”, czyli wykonane z dykty sylwetki pojazdów, dział i ludzi. Coś jednak było nie tak, jak oczekiwali, wokół nich zaczęły rozrywać się pociski wypełnione jakimś kopnącym świństwem, które wyraźnie ograniczały widoczność. Prowadzący jego czołg Werner Winkler odruchowo zwolnił, gdy pojazd wjechał w szaroczną, cuchnącą chmurę.

– Trzymaj kierunek i jedź! – wrzasnął Willi, ale przerażony kolega nie słyszał go, więc solidny kopniak wylądował na karku kierowcy, likwidując panikę. Pojazd zaczął się mocniej kiwać, przyśpieszając. Kręcąc nerwowo wieżyczką, wreszcie udało mu się ustalić położenie. W tym chaosie, jego dwa czołgi i kolejny z drugiego plutonu, odbiły nieco w bok od reszty pancernego klina, co wyprowadziło je na podniesiony teren z dala od ostrzału.

Fala strachu chwyciła go za gardło! Przerżnęli ćwiczenia! „Sheiße, sheiße, sheiße!” Maszyna wpadła do jakiegoś dołka, a nos uderzył o rękojeść jednego z karabinów maszynowych, obryzgując białe wnętrze krwią. Jeszcze tylko tego brakowało! Niech to diabli, trzeba się ratować! Czołg zatrzymał się, a Werner włączył radiostację.

– Achtung, trzeci pluton i czołg 202! Jeszcze sto pięćdziesiąt metrów prosto i wykonujemy ostry skręt w prawo, oskrzydłając pozycje wroga. Czekać z otwarciem ognia na moją komendę!

Jak to dobrze, że konstruktorzy pomyśleli o wyposażeniu czołgu w radiostację, nawet tak prymitywną jak FUG2! Boże, żeby tylko wszyscy usłyszeli!

Kopnięciem zmusił Wenera do podkręcenia obrotów i wysforowania się przed inne maszyny, po czym lekko uniósł włącznik i wychylił się. Widok odległych czołgów reszty



*Wszystkie Panzer I miały wielką moc ognia
dwóch karabinów maszynowych [...]*
Czołg Panzer I na defiladzie. Pojazd z widocznym kamuflażem.

kompanii ponownie wywołał lodowate uczucie przerażenia. Stary zabije go! Trzeba choć udawać, że miał jakiś pomysł na oskrzydlenie wroga.

Na ponowną komendę cztery czołgi mocno skręciły i wyjechały na nieco równiejszą płaszczyznę, umożliwiając przyspieszenie. Już wcześniej omówili w plutonie, jakie sektory ognia będzie brał każdy ze strzelców, więc pojawiające się teraz pod kątem figury wrogich żołnierzy nie będą roznoszone ogniem wszystkich wozów a tylko wyznaczonego. Wszystkie Panzer I miały wielką moc ognia dwóch karabinów maszynowych, która może zniszczyć każdego wroga. Na wprost ich czołgu wyłoniła się sylweta karabinu maszynowego z obsługą. Willi nacisnął stopą na ramię Wenera, który przyhamował czołg, ułatwiając mu celowanie. Pierwsza seria przeszła nieco w lewo nad sylwetkami, ale poprawka rozszarpała „wroga”. Zmiana nacisku stóp na ramiona Wenera i czołg posłusznie ruszył, ciągnąc za sobą smugę spalin oraz pozostałe trzy wozy. Szli teraz prawie równolegle do zagajnika i salwami rozstrzeliwali pojawiające się i znikające makiety. Ogłuszeni hukami silnika i trzaskami wystrzałów oraz zac zadzeni smrodem spalinowo-prochowym zaangażowali się całkowicie w walkę, będącą żywiołem prawdziwych Niemców. Zagajnik się skończył, a w słuchawkach zaczęło coś trzeszczeć. Naładowany adrenaliną Willi przeszedł na odbiór i z trudem rozpoznał głos dowódcy kompanii, który na przemian miotał przekleństwa i wydawał komendy. Lodowaty dreszcz, który przeszył jego ciało, przywrócił natychmiast świadomość miejsca i czasu. Koniec ćwiczeń!

Willi Stumpff otworzył właz, wpuszczając do wnętrza świeże powietrze i wypchnął górną część ciała ponad wieżyczkę.

Dlaczego reszta czołgów kompanii im nie towarzyszy, a stoi o dwieście metrów od zagajnika? Z jadących za nim

maszyn wyłaniały się głowy chłopaków, którzy – zorientowany się w sytuacji – dziękowali Bogu, że to nie oni dziś dowodzą. Cztery pięciotonowe potwory, klekocąc gąsienicami, podjechały do pozostałych maszyn i ustawiły się na swoich miejscach w szyku. Dwuosobowe załogi wyskoczyły z maszyn i pobiegły na zbiórkę kompanii, wprost przed czerwoną z wściekłości twarz kapitana.

Tak naprawdę to tylko ciało biegło, gdyż dusza dawno już się schowała w krzakach. Stanęli na poligonowej drodze, czekając na to co nieuchronne. Do końca zajęć szkolnych zostały im tylko cztery dni, ale dzisiaj zapewne zaliczą po kilka dni aresztu. No i awans na oficera może być wątpliwy.

„Stary” wolno ruszył w ich kierunku ze wzrokiem wbitym w twarz Willego, który wyprężony jak struna wpatrywał się w odległy punkt na horyzoncie, czując nadchodzącą burzę. Zza jego pleców zaczął dochodzić coraz głośniejszy warkot silników samochodowych pracujących ciężko na wyboistej drodze. Ale, ale! Przecież w tym miejscu mają ćwiczenia czołgi, więc ciężarówki z zaopatrzeniem nie mają prawa tu zajeżdzać. Hałas przykuł uwagę ich dowódcy, który w pół kroku zatrzymał się, gotowy rozszarpać kolejną ofiarę. Nagle, patrząc na zbliżających się, strzelił obcasami. Cały szyk kompanii stał nieruchomo wystawiony na ataki much podnieconych ludzkim potem i rosnącym upałem.

Willi słyszał zbliżające się kroki i gwar rozmów, ale nie był w stanie zorientować się, kto nadchodzi. Musiały to być jednak ważne osoby, bo ich „stary” nie stałby na baczność przed byle kim. Grupa oficerów powoli pojawiła się na skrzydle szyku i przystanęła, dając kapitanowi możliwość podejścia i złożenia meldunku. Stumpff wraz z innymi skierował wzrok na przybyłych, którzy stali przed czarnym, pancerniackim szykiem. Spod beretu zaczęły ciec mu kropelki,

potem strumienie potu, a skóra na karku mocno swędziała doprowadzając go do szału.

– Podchorążowie! Miałem dziś możliwość bliższego przyjrzenia się waszym ostatnim ćwiczeniom przed zakończeniem okresu szkolenia. Na mój rozkaz teren ćwiczeń został nieco zmodyfikowany, aby wprowadzić nowe elementy i pewne niespodzianki, jakich każdy oficer może się na prawdziwej wojnie spodziewać. Zrobiłem to zresztą na prośbę mojego przyjaciela, Heinza Guderiana!

Nazwisko słynnego oficera wzbudziło pomruk uznania wśród podchorążych, który natychmiast zamarł zduszony wzrokiem stojącego za komendantem kapitana.

– No cóż, muszę przyznać, że zaimprovizowane pole minowe położone w nocy przez pionierów i ostrzał z moździerzy skomplikowały wam zadanie. Ale bardzo cieszę się, że jednak kompanii udało się osiągnąć sukces i uniknąć strat. Generale Guderian, proszę pana o komentarz na temat tego, co mogliśmy przed chwilą zobaczyć.

Niewysoki oficer, w zapiętym po szyję pomimo rosnącego upału mundurze, zrównał się ze stojącym przed szykiem młodych pancerniaków komendantem szkoły.

– Zawsze z dużą przyjemnością oglądam ćwiczenia z udziałem broni pancernej, która już staje się najważniejszym z rodzajów broni. W odróżnieniu od opinii wielu członków sztabu generalnego, czołgi w nadchodzącej wojnie nie będą służyły do wsparcia piechoty, ale to piechota będzie musiała wspierać czołgi, które nacierając w wielkich masach będą nie tylko przełamywały umocnione pozycje wroga, jak zrobili to Anglicy w czasie poprzedniej wojny, ale przede wszystkim oskrzydlały nieprzyjaciela, siejąc zamęt i strach oraz dezorganizując jego obronę. Dlatego oficer broni pancernej musi być gotowy, aby działać nieszablonowo i ryzykować nawet życie

swoje oraz swoich żołnierzy, by wykonać zadanie. W normalnych warunkach pańskie natarcie – Herr Hauptmann – zapewne rozbiłoby ugrupowanie wroga przy rozsądnych stratach, lecz bez odpowiedniego rozpoznania teraz wpadł pan w pułapkę, która mogłaby kosztować życie wielu pańskich chłopców. I co gorsza, nie wykonałby pan rozkazu!

Stojący za generałem kapitan, zaczerwienił się, ale pozostał nieruchomy. Nieczęsto w Niemczech widziało się, aby wyższy rangą przełożony strofował niższego rangą na oczach podwładnych. Guderian przerwał na chwilę i spojrzał na stojącego tuż obok komendanta szkoły. Ten kiwnął porozumiewawczo głową.

– Niech wystąpią ci podchorążowie, którzy zaatakowali nieprzyjaciela od flanki.

Opanowując zaskoczenie, osiem umundurowanych na czarno sylwetek wysunęło się o trzy kroki przed szyk.

– Ci młodzi oficerowie – Guderian wyraźnie zaakcentował ostatecznie słowo – zachowali się tak, jak powinni zachowywać się dowódcy broni pancerniej. Wykazali się inicjatywą w obliczu niespodziewanych trudności i umieli przekuć ją na sukces. Choć pomógł wam zapewne przypadek, to jednak pomysłowość, odwaga i umiejętność podejmowania decyzji ocaliły całą kompanię.

Generał podszedł do wyprężonych postaci. Willi czuł, że serce wali mu jak oszalałe, gdy generał stanął tuż przed nim.

– Nazwisko?

– Wilhelm Stumpff, Herr General!

– Szkoda, że nie chce pan zostać oficerem zawodowym, ale jeżeli ojczyzna wezwie pana pod sztandary, będę dumny, mogąc mieć pana pod swoimi rozkazami. Dziękuję w imieniu Führera.

Dwie dłonie spotkały się nad kępą poszarzałej od kurzu trawy. Uścisk Guderiana był zaskakująco mocny.